

Sekcja Wychowanków Politechniki Kijowskiej przy Zarządzie  
Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych NOT

---

WSPOMNIENIA Z KIJOWA

I

*(Wyjątek)*

---

Wrocław - 1987

## **WSPOMNIENIA Z KIJOWA TOM I**

Tom I „Wspomnień z Kijowa”, wydany w 1987 r., zawiera 13 prac nagrodzonych w konkursie literackim na temat Kijowa, ogłoszonym w 1962 r. przez Sekcję Wychowanków Politechniki Kijowskiej wraz z warszawskim Kołem Miłośników Kijowa i Związkiem Literatów Polskich. Wpłynęły na konkurs 73 prace. Jury pod przewodnictwem prezesa ZLP pisarza Jarosława Iwaszkiewicza pierwszą nagrodę przyznało Włodzimierzowi Bartoszewiczowi za opowiadanie pod tytułem „Tamten dawny Kijów”, którego fragmenty zamieszczamy.

## TAMTEN DAWNY KIJÓW

Niewiele już jest chyba w Polsce ludzi, pamiętających tamten dawny Kijów sprzed pierwszej wojny światowej. Pomimo wielu lat, które upłynęły od chwili, kiedy to paradowałem po ulicach Kijowa w gimnazjalnym mundurze, wiele obrazów z tamtych lat widzę jeszcze dokładnie i ze zdziwieniem spostrzegam, że coraz mniej jest wokół mnie osób, z którymi mógłbym podzielić się moimi wspomnieniami.

W 1906 r. rodzice moi postanowili osiedlić się na stałe w Kijowie. Pewnego lutowego, pochmurnego ranka wylądowałem wraz z matką na dworcu kijowskim. Brodaty "nosilszczyk" załadował walizki do parokonnej dorożki i ruszyliśmy w stronę naszego nowego mieszkania na ulicę Instytucką. Nieogumione koła dryndy rozgłośnię klekotały po haniebnym bruku. „Izwozczyk” zatrzymał konie przed niewielkim domem, pomalowanym na żółty kolor i krytym zieloną blachą. W progu oczekiwał nas mój ojciec.

Mieszkanie nie uzyskało aprobaty matki, było obszerne, ale niewygodne i pozbawione komfortu. Łazienkę zastępowała blaszana wanna, ustawiona ni w pięć ni w dziewięć w ciemnej kuchni. Trzeba było jednak rozgościć się do czasu, gdy trafi się inne, dogodniejsze mieszkanie.

Na pierwszym piętrze, pod nami, mieszkała dama o dziwnym, nasuwającym jakieś zoologiczne skojarzenia nazwisku – Obiezanowa. Mały drewniany ganeczek, o balustradach wycinanych w esy-floresy, ocieniał parę schodków, prowadzących do drzwi wejściowych. Wieczorami na schodkach tych siadywał „dwornik” (dozorca) i przygrywał tęsknie na bałabajce, nie przestając ani na chwilę zaśmiecać trotuaru słonecznikowymi pestkami, wypluwanymi z nieprawdopodobną maestrią.

Codziennie około południa mijał nasz dom pojazd gubernatora. Rozłożysty, błyszczący świeżym lakierem faeton zaprzężony był w trójkę tłustych, karogniadych koni o bardzo długich grzywach i ogonach. Środkowy koń szedł wyciągniętym kłusem pod pomalowaną na czerwono „dugą”. Dwa boczne, tzw. „prisiażnyje”, galopowały beładnie, trzymając głowy przepisowo zwrócone na zewnątrz. Wydawało się, że każdy koń ciągnie gubernatora w inną stronę i było wręcz zdumiewające, dlaczego w tych warunkach rozpedzony pojazd w ogóle posuwa się naprzód.

Na koźle siedział furman, ubrany w czarny aksamitny kaftan, suto marszczony po bokach i przepasany kolorową krajką. Z kaftana wystawały jaskrawo pomarańczowe, sztywno wyciągnięte przed siebie, jedwabne rękawy. Na obficie wysmarowanej sadłem głowie sterczała mała, okrągła czapeczka, umajona dookoła pawimi piórami. Ta groteskowa postać tak pochłaniała moją uwagę, że zwykle zapomniałem przypatrzeć się rozpartemu na poduszkach powozu gubernatorowi.

Niebawem przenieśliśmy się do innego mieszkania na ulicę Funduklejewską 44 (dziś: *ul. Bohdana Chmielnickiego – red.*). Mieściło się ono w jednopiętrowym domku, położonym w głębi podwórza. Mieszkanie było bardzo obszerne, o dużych, widnych pokojach i zakamarkach, rozplanowane z rozrzutnym rozmachem. Odwrotną stroną medalu były roje karaluchów i prusaków, beztrąsko spacerujących po ścianach i podłogach. Gdy matka moja wyraziła zdziwienie, jak można było dotychczas mieszkać w tych warunkach, odpowiedziano jej, że owady te przynoszą domowi szczęście i że tępienie ich byłoby lekkomyślnością. Ale matka była innego zdania. Ryzykując utratę szczęścia domowego wydała bezlitosną walkę insektom. Przez dłuższy czas cały dom pachniał karbolem, terpentyną i innymi ingrediencjami, dopóki ostatni prusak nie wyciągnął nóg i nie został wymieciony na śmietnik. Domek nasz, zasłonięty od ulicy wysoką kamienicą, przylegał do sporego ogrodu. Na wiosnę ogród ten przybierał białoróżowe barwy, a woń kwitnących jabłoni wlewała się przez otwarte okna do naszych pokoi. Wieczorami, gdy siedzieliśmy na balkonie, roje chrapaszczy przelatywały z brzękiem nad naszymi głowami.

Pod nami, na parterze, mieszkało podstarzałe małżeństwo. Starszy pan z rzadka tylko ukazywał się narodowi. W oknie siadywała zwykle pani. Była to niemłoda już, ale zdradzająca minione czasy piękności brunetka o bujnych kształtach, prawie zawsze opiętych w kolorowy szlafrok. Z okna opuszczona była do ogrodu, niby zwodzony most, długa, uginająca się deska, po której co chwila zbiegały z miękkim tupotem krótkich łapek dwa jamniki.

W tym to mieszkaniu zaczęto przygotowywać mój umysł do czekających mnie zadań życiowych. Pod kierunkiem pani Marii Foltańskiej, starzejącej się rudej panny o rubensowskich kształtach, stawiałem pierwsze kroki po stromej ścieżce wiedzy, która z czasem doprowadzić mnie miała do wrót szkoły, a potem do gimnazjum. Panna Maria miała złote serce i bardzo brzydki charakter pisma, a pamiętam też, że używała tanich, bardzo złych perfum, których zapach snuł się po pokoju długo po zakończeniu lekcji.

Zaczynałem powoli oswajać się z Kijowem, z jego na połę europejskim, na połę azjatyckim charakterem, poznałem oczywiście dopiero później różne zalety i wady tego rozległego, pięknego miasta. Na razie prowadzano mnie jeszcze za rękę po ulicach, nie zawsze tam, dokąd bym pragnął, a pozwalano swobodnie poruszać się tylko w obrębie rozległego naszego podwórza i ogrodu. Ale i tam udało mi się zawrzeć interesujące znajomości. Okazało się, że we frontowej kamienicy mieszkali pochodzący z Warszawy państwo Szostakiewiczowie, którzy mieli syna Tadeusza i córkę Zosię. Zosia przychodziła do naszego ogródka ze swą boną, fertyczną Niemeczką. Zawarcie znajomości nie nastąpiło większych trudności i odąd spotykaliśmy się niemal codziennie.

Z czasem przyłączył się do nas mieszkający nieopodal Zygmunt Knothe i zabawy nasze stały się bardziej urozmaicone. Zygmunt nie wiedział jeszcze wtedy, że zostanie kiedyś historykiem sztuki i konserwatorem w Gdańsku i nosił zamiast łysiny krótko przystrzyżone bardzo czarne włosy. Był bardzo nerwowy, dowcipny, chodził drobnym, szybkim kroczkiem i umiał bardzo prędko biegać po alejach ogródka. Czas upływał nam tym milej, że fertyczna Niemeczka pozostawiała nas w spokoju, całkowicie pochłonięta rozmową z o wiele starszym od nas Tadeuszem pożerającym ją łakomym wzrokiem.

Przyszedł wreszcie czas, gdy zaprowadzono mnie do polskiej szkoły. Dyrektorką była znana w Kijowie pani Zofia Żukiewiczowa. Jej wygląd i zachowanie dokładnie odpowiadały doskonałemu wcieleniu cnót społecznych i towarzyskich. Wysoka, bardzo przystojna, zawsze nieskazitelnie i elegancko ubrana, mówiąca powoli i autorytatywnie, łączyła w sobie majestat królowej Jadwigi z temperamentem idealnej przełożonej pensji. Szkołę prowadziła w swoim mieszkaniu. W dwóch pokojach, zamienionych na klasy, kilkoro chłopców i dziewcząt wkuwało gramatykę, język rosyjski, arytmetykę i geografiię. Podczas wielkiej pauzy przechodziliśmy do jadalnego pokoju, gdzie pod czujnym okiem matki pani Żukiewiczowej, żwawej, ale dość zrędlivej staruszki, trzeba było grzecznie zjeść wszystko, co starsza pani do jedzenia przygotowała.

W wyprowadzeniu nas na ludzi dopomagały pani Żukiewiczowej dwie nauczycielki. O ile panna Matkowska należała do tych na pozór srogich, wybuchowych nauczycielek, nie szczędzących co tępszym uczniom gorzkich słów i zjadliwych epitetów, o tyle jej koleżanka, chuda brunetka, o oliwkowej cerze i wielkich czarnych oczach, umiała tylko łagodnie do nas przemawiać.

\* \* \*

Tak przeszły dwa lata.

Kijów tonął w świeżej, jaskrawej zieleni drzew. Brzydkie, żółte fasady domów błyszcząły w jaskrawym słońcu, jakby obmyte z zimowego brudu. Stoki Carskiego Ogrodu (*dziś: Kreszczały Park – red.*) pokryły się burym puchem młodych listków. W dole, u stóp Włodzimierskiej Górki, szumiał niebieski, szeroko rozlany Dniepr. Z wody sterczały żałośnie dachy zatopionej Słobódki i Trucharow-Ostrowa. Daleko, jak okiem sięgnąć, niby morze, niebieszczała woda. Błyszczały oślepijająco w słońcu kopuły Pieczerskiej Ławry i Sofijowskiego Soboru, strzelały w niebo smukłe, przez Rastrellego budowane, wieżycy Andrejewskiej Cerkwi. Po bruku, obmytym wiosennym deszczem, przeraźliwie stukwały żelazne obręcze kół. „Izwoczycy” pocili się w swych watowanych tułubach. Pot spływał spod śmiesznych, karykaturalnych cylinderków. Na schodkach, przed balustradkami drewnianych, wycinanych w desenie ganeczków, siedzieli brodaci „dwornicy”. Od czasu do czasu cienko zawodziła bałajka lub słycać było przeciągły, tęskny śpiew. Na ulicach pojawili się sprzedawcy lodów w białych fartuchach i wołali przeciągłe: „Saachar moroożenyj...” Po podwórzach domów wystawali handlarze starzyzną, Tatarzy, wołając gardłowym głosem: „Uisz, stary uisz, pakpaj...” (wieszci, staryje wieszci pokupaju). Na placu przed operą nudził się stójkowy. Na głowie miał już letnią czapkę z białym denkiem.

Była wiosna. Wraz z paroma kolegami wkuwaliśmy, przygotowując się do egzaminu. Pani Matkowska po raz ostatni usiłowała wbić nam do głowy skomplikowane zasady arytmetyki. Po raz nie wiem który gorzko wymawiała lenistwo i z rozmachem podkreślała czerwonym ołówkiem wołające o pomstę do nieba błędy w rosyjskim dyktandzie.

W obliczu bliskiego niebezpieczeństwa czuliśmy ogrom winy. Dusza coraz wyraźniej sadowiła się na ramieniu.

\* \* \*

Pierwsze wrażenie, jakie odebrałem wkraczając w mury prywatnego gimnazjum Włodzimierza Pawłowicza Naumenki nie było zachęcające.

Gimnazjum mieściło się w starej, czynszowej kamienicy, przy ulicy Podwalnej 25 (dziś: *Jarostawów Wał – red.*). Klatka schodowa dość porządna, ale ciemnawa, ze szklanym dachem, oświetlającym kamienne schody, prowadziła do klas, przerobionych z pomieszczeń mieszkalnych. Na każdym piętrze mieściły się spora sala rekreacyjna i pokoje nauczycielskie. Na pierwszym piętrze, otoczony nimbem nieznanym mi wówczas jeszcze grozy, był gabinet inspektora Pawła Aleksandrowicza Dołguszyna.

Wprowadzono mnie do korytarza. Za zamkniętymi drzwiami odbywał się egzamin. Wraz z paroma, równie jak ja przepłoszonymi aspirantami do tytułu ucznia pierwszej klasy gimnazjalnej, oczekiwałem swej kolejki.

Od razu na wstępie uderzył mnie widok, zdolny odebrać najśmielszemu kandydatowi na gimnazystę resztki odwagi. Zobaczyłem tłustawego chłopaka ryczącego wniebogłosy i zalanego łzami. Matka próbowała go pocieszać i coś do niego mówiła, ale każde jej słowo wywoływało jeszcze żałośniejsze jęki i chlipania. Z dyskretnej odległości grupka chłopców ze zgrozą przyglądała się scenie. Ktoś szepnął tajemniczo: „Zrył z geografii. To Bylina”.

Spotkałem go po kilku dniach w klasie. Kolegowaliśmy potem aż do matury. Ów niefortunny, płaczący geograf okazał się z czasem bohaterskim, wielokrotnie za odwagę odznaczanym oficerem. „Tempora mutantur et nos mutamur in illis” ( *po łac.: Czasy się zmieniają i my zmieniamy się z nimi – red.*).

Z bolesnego osłupienia wyrwało mnie wezwanie na egzamin. Nie pamiętam już jak go zdałem. Faktem jest, że zostałem uczniem pierwszej klasy gimnazjalnej.

Ku memu zmartwieniu kupno munduru odłożono do powrotu z wakacji. Udało mi się tylko wytargować nabycie granatowej czapki z bładoniebieskimi wypustkami. Nad ceratowym daszkiem olśniewająco błyszcząły złote palmy, okalające srebrne litery „CZ. N. G.” (Czastnaja Naumenki Gimnazija). W tej urzędowej czapce, ale w cywilnym jeszcze ubraniu, wyjechałem nazajutrz z rodzicami na wakacje.

Gimnazjum Naumenki należało do szykownych i najdroższych zakładów naukowych w Kijowie. Było to gimnazjum prywatne „z prawami”. Uczęszczali doń synowie zamożniejszych rodzin rosyjskich, trochę bogatych Żydów i spora grupa Polaków. Gimnazjum było liberalne i na owe czasy bardzo postępowe. Szkoła stała na wysokim poziomie naukowym, a dobór uczniów zapewniał też wyższy poziom moralny i towarzyski.

„Naumenczaki” nosili się górnie, z wyższością spoglądając na sztubaków z „kazionnych” gimnazjów, odzianych w czarne „rubaszki”, przepasane skórzanym paskiem z klamrą, podczas gdy my mieliśmy granatowe kurtki, szyte austriackim krojem i jaśniejsze, niebieskie spodnie.

„Kazionni” gimnaziści wymyślali nam od „paniczyków” i „maminsynków”. Znosiliśmy to z pogardliwą pobłażliwością, ponieważ i tak było wiadomo, że nie kto inny, tylko my mieliśmy największe fory wśród uczennic polskiego gimnazjum żeńskiego pani Peretiatkowiczowej, tzw. „peretiatek”. A to w gruncie rzeczy było najważniejsze.

Po powrocie z wakacji otrzymałem upragniony mundur i po raz pierwszy zetknąłem się z nieznanym mi dotychczas światem rosyjskich belfrów i kolegów.

Na każdym kroku napotykałem niespodzianki. Od razu na wstępie popełniłem towarzyską gafę. Jako dobrze ułożony młodzieniec, napotkawszy w sali rekreacyjnej nauczycielkę rosyjskiego Nadieżdę Pietrownę, gdy ta coś do mnie przemówiła, szurnałem nogą i pocałowałem ją z galanterią w rękę. Ku memu zdziwieniu moja szarmanteria wywołała widoczne zakłopotanie u Nadieżdy Pietrowny. Marszcząc i tak już pomarszczone, pucolowate oblicze i przymrużając małe skośne oczka uśmiechnęła się i powiedziała: „Nie trzeba, nie trzeba całować w rękę. Ot tak: uklonić się i wystarczy”.

Dyrektorem szkoły był bardzo kulturalny, starszy pan – Włodzimierz Pawłowicz Naumenko. Wytrawny, światły pedagog, wyrozumiały, choć surowy wychowawca młodzieży, cieszył się ogólnym szacunkiem i dużym autorytetem. Umiał w sposób taktowny rządzić szkołą, traktując jednakowo obiektywnie i sprawiedliwie zarówno Rosjan, jak Polaków i Żydów. Umiał też dobrać nauczycieli. Na ogół byli to ludzie inteligentni i kulturalni, znający swój fach i umiejący zainteresować uczniów tematem, który wykładali.

Może największym autorytetem moralnym cieszył się nauczyciel łaciny, Polak, Stanisław Trapszo. Pana Stanisława my, Polacy, uważaliśmy trochę za swego duchowego przywódcę i opiekuna. Wiedzieliśmy, że jest członkiem wielu polskich organizacji i stowarzyszeń. Wiedzieliśmy, że należy do Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego. Spotykaliśmy go nieraz na wieczornych ćwiczeniach gimnastycznych, ubranego, tak jak my, w sokolską białą koszulkę z czerwonymi wypustkami i w granatowe trykotowe spodnie. Mówiło się do niego wtedy: „Druhu”. Wspólnie wykonywaliśmy na komendę druha Radomskiego różne ewolucje, przysiady, ćwiczenia na drążku i zwroty.

Druh Stanisław Trapszo, ubrany w sokolską koszulkę, wydawał się nam jakiś bliski, zwłaszcza gdy uśmiechał się przyjaźnie zza binokli. I trudno nam było wyobrazić sobie, że zjawi się nazajutrz w klasie z groźną zmarszczką na czole i wciśniętą w wykrochmalony kołnierzyk hiszpanką i że zamiast białej koszulki z czerwonymi wypustkami będzie miał na sobie długi granatowy surdut ze złotymi guzikami. A my, zapytani przezeń, czy nauczyliśmy się zadanej lekcji, odpowiemy: „Da, my wyuczili, Stanisław Bolesławowicz”.

Zawsze nienagannie ubrany, z gładko przyczesaną bujną siwiejącą czupryną, podkreślonym starannie wąsem i hiszpanką, spoglądał surowo zza binokli, nękając deklinacjami i tłumaczeniem Cezara. Nie było z nim żartów. Dla nas, Polaków, był specjalnie wymagający. Gdy któryś z nas coś przeszkrobał, Trapszo umiał ni stąd, ni zowąd wtrącić takie zdanie, które tylko dla nas było zrozumiałe i niby batem podcinało naszą ambicję: „Nie spodziewałem się tego po was, myślałem, że inaczej rozumiecie swoje obowiązki”.

Nauczycielem języka francuskiego był wysoki i chudy jak szczapa Maurice Maillard. Wymagający, logiczny, nie pozbawiony poczucia humoru, umiał, jak nikt inny, utrzymać w ryzach klasę i zainteresować wykładem. Jemu to zawdzięczam znajomość literatury francuskiej. Rzutki i pomysły, przeprowadził wystawienie na scenie gimnazjalnej sztuki „Cyrano de Bergerac”, odegranej po francusku przez uczniów najstarszych klas z dużym powodzeniem. W ostatnim roku moich studiów, z inicjatywy Maurice Maillarda, klasa nasza odegrała jednoaktówkę Anatola France’a „L’homme qui epousa une femme muette”. Grałem w tej sztuce rolę tytułową. Kostiumy wypożyczono z teatru Solowcowa, a scenę udekorowano pięknymi meblami – antykami, wypożyczonymi z mieszkania ojca mego kolegi i przyjaciela, mecenasa Stanisława Żeromskiego. Sztuka wystawiona została niezwykle starannie, a francuski tekst w wykonaniu uczniów był bezbłędny.

Nie mógł popisać się takimi osiągnięciami niefortunny kolega Maurice Maillarda – nauczyciel języka niemieckiego Karł Pietrowicz Rudin. Dzielił on tradycyjny, a opłakany los wszystkich bodaj wykładowców języka niemieckiego w szkołach rosyjskich. Klasa w czasie jego wykładów szalała. Zajmowano się wszystkim, tylko nie językiem Schillera i Göthego. Co praktyczniejsi uczniowie odrabiali lekcje „na jutro”. Bardziej lekkomyślni grali w „piórka”, czytali powieści lub rozmawiali. Nieszczęsny Rudin krążył bezradnie wśród ławek w nadziei, że przecież może znajdzie u kogoś otwartą na właściwej stronie „Marię Stuart” Schillera. Ale książki nikt nie miał. „Unglaublich, – wołał zrozpaczony „Kartusza” – kein einziges Buch”.

Nie sposób, dla dopełnienia obrazu, nie wspomnieć o najbardziej charakterystycznym przedstawicielu ówczesnego urzędowego świata pedagogicznego – o naszym inspektorze i matematyku, Pawle Aleksandrowiczu Dołguszynie. Reprezentował on wśród ciała pedagogicznego narzucony przez kuratorium czynnik policyjno-rządowy. Zdaje się, że obawiali się go zarówno uczniowie, jak nauczyciele. Kontrolował on bowiem „błagonadiożność” i jednych, i drugich.

Był to niewysoki, barczysty mężczyzna, o ruchach kocich i sprężystych. Przystojną twarz o oliwkowej cerze i wystających kościach policzkowych okalała szpakowata broda. Czarne, gładko uczesane włosy wieńczyły wysokie czoło. Spod ciemnych brwi patrzyły przez ciemne okulary przenikliwe czarne, wszystko dostrzegające oczy. Dołguszyn nosił zazwyczaj długi, granatowy surdut i buty bez obcasów. Dzięki tym butom stąpał bezszelestnie jak kot, co pozwalało mu zjawiać się niepostrzeżenie w najbardziej nieodpowiednich miejscach. Nieraz zacietrzewieni dysputą uczniowie znajdowali go raptem za swoimi plecami, z lekko przechyloną głową, podłuchującego ich wywody. To znów Dołguszyn zaglądał do ubikacji lub stał niezauważony w drzwiach klasy.

Dołguszyn wykładał matematykę. Czynił to z dużą umiejętnością. Umiał mówić jasno i logicznie. Umiał nawet największym w tej dziedzinie hebesom (*po łac. głupiec – red.*), do których, niestety, należałem, wmówić, że znajomość logarytmów jest w życiu równie niezbędna, jak umiejętność posługiwania się widelcem i nożem, a należyte zrozumienie teorii Dedekinda jest kardynalnym warunkiem życiowego powodzenia. Największym jednak osiągnięciem pedagogicznym Dołguszyna było chyba to, że jego uczniowie potrafili nauczyć się wszystkich tych niezrozumiałych mądrości i zdawać z nich egzamin z dobrym wynikiem.

Zapowiedź klasówki równała się wiadomości o nadchodzącym, a nieuniknionym kataklizmie. Dołguszyn nie tylko był surowym i wymagającym pedagogiem, ale miał swój własny, wyrafinowany system sprawdzania naszych umiejętności.

Gdy zadzwieczał dzwonek, padano sobie w objęcia, żegnając się „na zawsze” przed decydującą próbą. Wreszcie wartownik, czatujący we drzwiach klasy, wbiegał z panicznym okrzykiem: „Idzie! idzie!” Zalegała śmiertelna cisza. We drzwiach zjawiał się Dołguszyn i od progu już wołał: „Razdwigajcie party!”

Siedzieliśmy w pięciu rzędach. Rzecz polegała na tym, by nasze jednoosobowe ławki odsunąć od siebie jak najdalej. Wówczas inspektor brał kredę do ręki i ogłaszał: „W sieredinie i po krajam sidiaszczije: zadacza nomier pierwyj”. Po czym dyktował tekst zadania. Zadanie numer 2 otrzymywały rzędy drugi i czwarty. W ten sposób „ściąganie” od sąsiadów z lewej i prawej strony stawało się niemożliwe. Rozstęp zaś pomiędzy ławkami, stojącymi z przodu i z tyłu, był tak duży, że porozumiewanie się było praktycznie niewykonalne.

Podyktowawszy zadanie Dołguszyn zasiadał na krześle, wyjmował gazetę i zatapiał się w jej czytaniu. Po pewnym czasie poniekąd uczniowie zaczęli zdradzać zaniepokojenie. Ten i ów, widząc, że nigdy nie dojdzie, kiedy turysta, który przejechał parostatkiem o 3 wiorsty więcej niż łódką, zostanie dopędzony przez swego kolegę, poczynił dawać rozpaczliwe znaki, wzywając ratunku. W odpowiedzi zwinęta w kulkę „ściągaczka” niby koło ratunkowe leciała przez klasę. Ale w tym samym momencie Dołguszyn zrywał się z krzesła i w paru susach stawał przy rozbitku. Długo nie mogliśmy zrozumieć, co było powodem tego niezwykle jasnowidzenia. Okazało się, że była nim po prostu mała dziurka w gazecie, przez którą przemyślny pedagog obserwował swoich wychowanków.

Uczniowie Polacy prowadzili z Dołguszynem głuchą walkę o fason czapek, którym starali się nadać wygląd polskich „maciejówek”, wyjmując z szerokiego ronda usztywniający drut. Dołguszyn czapki takie nazywał pogardliwie „blinczikami”, przeciwstawiając im piękno urzędowych „kłapouchów”. Co roku też powtarzała się heca z Zaduszkami, na które demonstracyjnie nie przychodziliśmy do szkoły.

Pomimo tych drobnych szykan Dołguszyn był dla nas, Polaków, zawsze sprawiedliwy, gdy chodziło o ocenę naszych umiejętności. Karząc nas za różne przekroczenia, w których – może i słusznie – wyczuwał chęć podkreślenia naszej kulturalnej odrębności, nie szczędził też gorzkich wymówek swoim współrodakom.

Z kolegami Rosjanami łączyły nas – z małymi wyjątkami – dobre koleżeńskie stosunki. Ograniczały się przeważnie do współżycia w szkole, gdzie wzajemnie przestrzegaliśmy wobec siebie reguł lojalnej koleżeńskiej współpracy.

Z pobytu w Gimnazjum Naumenki zachowałem jak najlepsze wspomnienia. Kolegów miałem dobrych, kulturalnych, o dużych ambicjach i wysokim poczuciu etycznym, wesołych i koleżeńskich. Przyjaźnie nawiązane w szkolnych murach przetrwały kataklizmy wojenne, przemiany społeczne i wszystkie te karkołomne salta mortale, których nie szczędziła naszemu pokoleniu historia ostatnich czterdziestu lat. I gdy spotykamy się teraz w jakże odmiennych warunkach, czujemy się znów młodzi, tacy sami, jakimi byliśmy wtedy, gdy, wymknąwszy się na węgry, zbiegaliśmy po stromych zboczach Włodzimierskiej Górki do Mogiły Askolda, by popatrzeć na szeroko rozlany Dniepr płynący u naszych stóp.

\* \* \*

Ulica Funduklejowska, przy której mieszkaliśmy, była szeroka, wysadzana drzewami magistralą o wysokich, nowoczesnych kamienicach. Szedłem codziennie do szkoły nieco dalszą, wygodniejszą drogą. Najbliższa prowadziła przez ul. Nesterowską (*dziś: ul. Iwana Franki – red.*), łączącą ul. Funduklejowską z Podwalną. Była ona tak stroma, że kiedyś zużyłem około pół godziny na jej pokonanie. Było to w zimie. Gołoledź była tak straszna, że nie mogłem utrzymać się na nogach i zjeżdżałem co chwila w dół. Musiałem więc wspinać się krok za krokiem, czepiając się sztachet płotów, które ogradały ogrody domów.

Ulicą Funduklejowską dochodziło się do placu Opery. Kijów był miastem muzycznym, a publiczność umiała niezwykle entuzjastycznie przyjmować występy sławnych śpiewaków, niejednokrotnie przyjeżdżających tu na występy gościnne. Pamiętam tłumy, oblegające kasy operowe i zalegające plac przed gmachem, gdy do Kijowa przybyła słynna Gay, niezrównana w roli Carmen. Tłumy gromadziły się tak wielkie, że porządek musieli utrzymywać konni policjanci. Ci, którym udało się dostać na przedstawienie, opowiadali potem co działo się na widowni. Publiczność szalała. Znakomitą śpiewaczkę dosłownie zarzucono kwiatami, a także... rękawiczkami, bransoletami i czapkami. Był to swoisty, rosyjski sposób wyrażania swego entuzjazmu. Dawało to pretekst do pójścia za kulisy po odbiór rzuconych na scenę przedmiotów, co czasem pozwalało zobaczyć z bliska śpiewaczkę i złożyć jej osobiście gratulacje.

Naprzeciw Opery mieścił się jeden z najlepszych kijowskich hoteli „Francois”. Właścicielem jego był Polak, pan Gołąbek, ten sam, który po pierwszej wojnie światowej osiedlił się w Poznaniu, gdzie założył fabryczkę doskonałych cukierków. Hotel ten miał przy ulicy Funduklejowskiej obszerną, bardzo elegancką cukiernię, znaną z doskonałych wyrobów cukierniczych, kawy i herbaty. W cukierni „Francois” spotkać można było najwytworniejszą publiczność. Ze względu na właściciela stałymi gośćmi hotelu i cukierni bywali Polacy zamieszkujący w Kijowie, jak i przyjeżdżający z prowincji. Niektórzy z nich mieli tu swoje stałe apartamenty.

Z placu Opery szło się w lewo, do miejsca, gdzie po środku skweru, ukryte w gęstwie wysokich drzew i okolone żelazną balustradą wznosiły się ruiny Złotej Bramy. Chodziliśmy tam nieraz po lekcjach całą paczką kolegów i przystawaliśmy przed szacownymi ruinami. Staralem się wyobrazić sobie Bolesława Chrobrego, przejeżdżającego przez ciasną, teraz ściągniętą żelaznymi klamrami bramę, na próżno wypatrując na jej czerwonych ceglach śladów królewskiego miecza.

Ale rozmyślania nad przeszłością nie trwały długo. Spieszno nam było skręcić w ulicę Włodzimierską, gdzie, po przeciwnej stronie, mieściło się polskie gimnazjum żeńskie pani Peretiatkowiczowej. Czasami, gdy pogoda była piękna i słoneczna, można było dojrzeć w otwartych

oknach na piętrze czerwone, kraciaste mundurki pensjonarek. Gdy się miało wyjątkowe szczęście, zdarzało się zobaczyć całe grono „peretiatek”, czerwieniejące niby pelargonie na balkonie.

Ulicą Podwalną dochodziło się do naszego gimnazjum, mijając po drodze świątynię karaïmską i ulicę Stołypinowską (*dziś: ul. Ołesia Honczara – red.*). Dzięki dwóm kolegom karaïmom, Iljuszcy i Michałowi Duwanom, byliśmy kiedyś na nabożeństwie karaïmskim. Pamiętam jakieś wspaniałe chóry, zawodzące psalmy i ołtarz, nad którym zawieszona była czarna aksamitna zasłona z hebrajskim napisem haftowanym złotem. Przybrany w ciemną szatę kapłan miał na głowie wysoki czarny kołpak i mówił coś gardłowym basem. Zapamiętałem tylko jedno słowo „czokole, czokole”. Peszyło nas to, że musieliśmy stać cały czas w czapkach na głowie.

Minąwszy plac Opery można było iść dalej lekko spadającą ku Kreszczatikowi ulicą Funduklejowską. Zaraz gdzieś niedaleko Włodzimierskiej mieścił się niewielki sklep papierniczy Pigłowski. Właściciel był Polakiem. Sam sprzedawał za ladą papier listowy, kajety, atrament, pióra i inne materiały piśmienne. Ale nie to stanowiło magnes przyciągający sztubaków do jego sklepiku. Atrakcją były znaczki pocztowe, które można było u pana Pigłowskiego kupić lub długo je oglądać i wybierać, a także radzić się gospodarza, który uchodził za znakomitego i zamiłowanego filatelistę.

Niedaleko mieścił się mały, wieczorami jaskrawo oświetlony sklepik. W witrynie i na półkach sklepu błyszcząły mosiężne i niklowane samowary, emaliowane tace i lakowe pudełka na herbatę ze złożonymi wizerunkami smoków, Chińczyków i żurawi. Za ladą dwaj starsi, bardzo uprzejmi panowie sprzedawali herbatę i kawę, której zapach czuć było aż na ulicy. Matka moja zawsze zaopatrywała się w herbatę w tym sklepie.

Już po wybuchu pierwszej wojny światowej po prawej stronie ulicy Funduklejowskiej w małym parterowym domku otworzył polską księgarenkę przybyły z Galicji pan Narcyz Gieryn. Warto było wtedy przechodzić na drugą stronę, by przejrzeć najnowsze polskie wydawnictwa i zobaczyć jeszcze coś, co pan Gieryn pokazywał tylko swym znajomym w małym, przylegającym do księgarni pokoiku. Była to pieczołowicie zbierana kolekcja okładek i obwolut, starannie wklejonych do kilku grubych albumów.

Minąwszy ulicę Timofiejewską (*dziś: ul. Tereszczenkowska – red.*) i ulicę Puszkinińską, dochodziło się wreszcie do Kreszczatiku, spotykając po drodze po prawej stronie ulicy jeszcze dwie kawiarnie – filię cukierni „Francois” i „Udziałową”, uczęszczaną przez Polaków, zwłaszcza przez studentów, którzy jadali tu zwykle tanie kolacje.

Kreszczatik był główną i najbardziej reprezentacyjną arterią Kijowa. Była to dość szeroka, ożywiona ulica, dobrze wybrukowana i oświetlona. Przy Kreszczatiku skupiały się najbogatsze sklepy, największe banki i instytucje. Przed „Grand Hotelem” stały zawsze dorożki powożone przez najgrubszych „kuczerów” i zaprzężone w najściślejsze „rysaki”.

Na wprost wylotu ulicy Proreznjej, po drugiej stronie Kreszczatiku, stał wśród wysokich kamienic mały parterowy, kryty papą domek. Mieściła się w nim największa kijowska księgarnia Leona Idzikowskiego. Księgarnia posiadała szereg działów, a wśród nich doskonale zaopatrzonego dział muzyczny. U Idzikowskiego dostać można było wszystko, co ukazywało się w druku, zarówno w języku rosyjskim, jak polskim, francuskim, angielskim i niemieckim. Można też było za pośrednictwem księgarni sprowadzić wszystkie nowości lub zaabonować pisma. W osobnym, oddalonym nieco pomieszczeniu, do którego wchodziło się po schodkach, dwa fortepiany rozbrzmiewały przez cały dzień muzyką. Klienci przegrywali na nich nowe wydania nut. Spotkać tam można było najślawniejszych wirtuozów, bądź mieszkających w Kijowie, czy na Kresach, bądź przybyłych na gościnne występy z Cesarstwa i z całej Europy. W innych pokojach uprzejmi, doskonale obeznani z literaturą ekspedienci sprzedawali książki, polecali ciekawsze powieści, doradzali zakupienie ostatnich nowości. Wśród publiczności uwijał się sam właściciel pan Leon Idzikowski, usłużny, uprzedzająco grzeczny, mówiący wszystkimi językami, znający wszystkich, zawsze gotowy do zaspokojenia najbardziej nieoczekiwanych życzeń klientów.

Nieco dalej wchodziło się po schodkach do obszernej, we wszelkie leki zaopatrzonej apteki, należącej do Polaka, pana Marcińczyka. Gdzieś, już bliżej placu Dumskiego (*dziś: plac Niepodległości – red.*) obszerny apartament zajmowały biura spółki aptecznej „Jurotat”. Właścicielem tej wielkiej, bardzo zasobnej firmy był również Polak pan Antoni Czerwiński, jeden z wydawców polskiego pisma „Dziennik Kijowski”. Na Dumskiej Płoszczadi wznosił się po środku placu okazały gmach magistratu (Gorodskoj Dumy). Przed Dumą pełnił wartę konny policjant.

Po trotuarach Kreszczatiku przechadzały się tłumy mieszkańców. Gwardyjscy oficerowie w lakierowanych butach dzwonili ostrogami, nonszalancko salutując zwyczajnych liniowych oficerów. Damy, otulone w kosztowne futra, w szerokich kapeluszach z piórami lub fokowych czapeczkach, przystawały przed oświetlonymi witrynami sklepów. To znów szli zmęczeni długą drogą pielgrzymi, brodaci, brudni, w brązowych siermięgach i lipowych łapciach na nogach lub – jeśli to było w lecie – zgoła bosy. Czerkiescy oficerowie w czarnych włochatych burkach, narzuconych na malinowe, ściągnięte pasem żupany, z rzędem świecących karabinowych patronów na piersiach, w wysokich papachach i srebrem zdobioną „szaszka” u boku, ocierali się o warszawskich elegantów, świeżo przybyłych ze stolicy „Priwislinija”, w melonikach i ciemnych paltach z aksamitnym kołnierzem. Czasem zamasyżycie kroczył płowowąsy szlachciura w szamerowanej bekieszy i „batorówce” na głowie, to znów poważnie stapał długowłosy pop w fałdzistej fioletowej sutannie, z krzyżem na szyi zawieszonym na złotym łańcuchu.